

Mateusz Matyszkowicz: „Sopliców choroba”. Polski obyczaj czy rytuał?

Polskość czasów Pana Tadeusza jest przede wszystkim stylem, czymś, co możemy nazwać polskim sposobem życia Polaków, z grzybobraniem, polowaniem na niedźwiedzia i określonym rytmem pracy. Wszystko to jest dziełem konwenansu i w konwenansie się zamyka – pisał Mateusz Matyszkowicz. Przypominamy jego tekst w „Teologii Polityczne Co Tydzień”: Polski wypo(czyn)ek.

Ostatnia lektura *Pana Tadeusza* wydała mi się wyjątkowo ponura. Nie potrafię już czytać tego poematu bez goryczy. Na cóż mi bogactwo opisanych tam charakterów, jeśli działają one w ontologicznej próżni. Ten świat spoczywa bowiem na państwie, którego już nie ma, jest światem całkowicie fikcyjnym, tworem wyobraźni, do której dotarła świadomość końca. Pozostaje im republika jako wspomnienie lub marzenie, nigdy zaś jako czas teraźniejszy. Ponieważ jednak to przeszłe państwo ustanowiło obyczaje, które wciąż kultywują, towarzyszy im tylko pozbawiona aktualnego sensu forma. Pańskość, która jest istotą tej postawy, pozwala zachować godność i przekazywać pewien kod kulturowy, ale jest już wyrwana z właściwego dla niej kontekstu. Jest już formą nieużyteczną. Z drugiej jednak strony wyzbycie się jej byłoby zdradą.

To zawieszenie między zdradą a trwaniem w bezsensownym rytuale wydaje się tragiczne. W podtrzymywanym rytuale jest jednak coś z liturgii, której sens przekracza nasze rozumienie. Rzeczywistość kreowana przez obyczaj jest fikcją, szybko jednak się usamodzielnia, otrzymuje własne życie i w ten sposób przynosi niezamierzone owoce. I to sprawia, że początkowe uwagi można byłoby wziąć w nawias. Wątpienie, które tu proponuję, jest wątpieniem metodycznym. Sposobem na oczyszczenie lektury i znalezienie nieco innej perspektywy. To wreszcie wątpienie, które ma swoje źródło w fascynacji światem przedstawionym w „Panu Tadeuszu”. Jest też rezultatem zgody z zasadniczymi tezami prof. Stanisława Pigonia z jego szkicu „Spór o Polskę w Panu Tadeuszu”. To sprawa zbyt poważna, by zamykać ją w anegdocie.

Sprawa jest o tyle trudna, że „Pan Tadeusz” jest przede wszystkim obrazem. Deklaracja autora „widzę i opisuję” jest zobowiązująca i utrudnia dyskursywne potraktowanie arcydzieła. Poniekąd od dyskursywnego traktowania Mickiewicza ważniejsze jest „ćwiczenie w widzeniu”, które chciałbym zaproponować poniżej. Takie ćwiczenie wykonuję od dawna. Przy każdej lekturze obraz jest nieco inny.

I

Zgodnie z powszechną opinią *Pan Tadeusz* jest dziełem raczej humorystycznym. Tak też zdawał się traktować go sam Mickiewicz. W poemacie doszukiwano się więc wątków humorystycznych, a wraz z nimi elementów sielskości, co znakomicie zespolone jest w postaci

Zosi. Ta dorastająca panna, karmiąca gęsi i kurki, dziewczę w zwiewnej haleczce, połączenie sielskiego marzenia, lekkiego erotyzmu i ciepłego humoru, ma skupiać w sobie istotę przesłania *Pana Tadeusza*.

*Twarzy nie było widać, zwrócona na pole
Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
Jak biały ptak zleciała z parkanu na błonie (...)*

Odrealniona Zosia, umykająca i drażniąca wyobraźnię, owa nimfa z pochwały Hrabiego, śmiejąca się i klaszcząca, może kojarzyć się z nieuchwytną ojczyzną. Nieprzypadkowo bowiem pojawienie się Zosi poprzedzają i patetyczna inwokacja, i kiczowaty prawie opis dworu. Patos inwokacji miesza się tu z poczciwą prowincjonalnością, Panna Ostrobramska z dworkiem nad brzegiem ruczaju, dwór, gdzie zegar wygrywa patriotyczne melodie z pokojem Tadeusza przerobionym na dziewczęcą modłę. Te kontrasty są tylko pozorne. Zarówno powaga budynku, jak i infantylny erotyzm Zosi mają tworzyć spójny obraz tego, co Telimena nazwie później „Sopliców chorobą”.

Nim przejdziemy jednak do tej diagnostyki, poświęćmy jeszcze chwilę ścianom dworu. Dwa obrazy – jeden przedstawiający Kościuszkę, drugi Rejtana. Mit Kościuszki nie powinien dziwić w dziele pisanym z perspektywy paryskiej. Naczelnik wszedł bowiem do europejskiej mitologii. Michelet, który konkurował z Mickiewiczem w Collège de France i ścigał się z nim w profetycznych wykładach, pod wpływem wieszczki napisał natchnioną monografię o Kościuszcze. W swoich notatkach wykrzykiwał: „Dawni bohaterowie Polski to byli święci”[1]. Obraz Kościuszki na ścianie dworku ma w sobie coś świętego, coś z tej

słowiańskiej świętości, w której kult paryski Mickiewicz coraz głębiej popadał. Tym bardziej nie może więc dziwić Rejtan, którego widzimy tuż przed popełnieniem samobójstwa. Według tradycyjnego spojrzenia Rejtan był szalony na co najmniej dwa sposoby: szalonym protestem przeciwko rozbiorowi, owym gestem Rejtana, i popełnionym później samobójstwem. Jeśli połączymy ten obraz z tekstem Mickiewicza z „Pielgrzyma Polskiego” z 1833 roku: *O ludziach szalonych i ludziach rozsądnych*, zobaczymy kolejny wątek. Rejtan to szalenie, ale wcale nieogarnięty manią. Jego gest i powoływanie się na rany Chrystusa to objaw nie obłądki, ale prostoty myślenia i szczerości, której nie podrobie z rozumkującymi realistami. Szaleństwo jest więc nie tyle obłądkiem psychicznym, ile odmową afirmacji oficjalnego dyskursu. „Manipulacja językowa zagarniała przede wszystkim znaczenia słów: »rozsądny« i »szalony«” [2].

Szaleństwo zatem ma tu charakter względny – jest odwróceniem narzuconego porządku. A jeśli narzucony porządek jest błędny, jeśli rozumkujący patrioci się mylą, to szaleństwo jako inwersja obowiązującego dyskursu nabiera cech racjonalności. To dlatego w *Panu Tadeuszu*:

*Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,
W ręku trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon i Żywot Katona.*

Jeśli jest szalony, to czemu towarzyszy mu tak poważna lektura? Jakie to musiałyby być szaleństwo, by utożsamić śmierć Sokratesa ze śmiercią Rejtana? Z pewnością nie jest to śmierć w porywie gniewu, ale jest w niej coś ukartowanego i wystudiowanego, ta śmierć jest skutkiem

namysłu, a jednocześnie pokornym przyjęciem wyroku, który na bohatera wydają współcześni. Podobnie jak Sokrates, Rejtan jest niewczesny w nietzscheańskim sensie. Ich porażka nie wiąże się ani z błędną diagnozą, ani z niedostatkiem rozumu, ale osadzona jest na wnioskowaniach różnych od tych, które mogli przyjąć ich rodacy. Zarówno Sokrates, jak i Rejtan padli ofiarą nieznoszącej sprzeciwu pewności sądów, jakie wydawali rozumni, przede wszystkim zaś ich niepokodzenia z dysonansem poznawczym. Z jednej strony psucie młodzieży i urąganie bogom, z drugiej historyczny krzyk człowieka, który widzi, że czas ojczyzny się kończy, ale widzi to jako jedyny. Z rozmysłem zatem popełnia samobójstwo, jakby to był czyn najbardziej rozumny, na jaki się może zdobyć. Polityczna klęska Rejtana jest także porażką politycznego rozumu, który nie okazał się na tyle wprawny, by powstrzymać upadek państwa, chociaż przewidywał go znacznie wcześniej.

W tym sensie samobójstwo Rejtana jest w pełni zrozumiałe. Rejtan mógł sądzić, że zawiódł nie on – przecież rozumował i działał prawidłowo – ale zawiódła wspólnota polityczna. Jedyny rozumny pośród nic nierozumiejących. Rozum był więc za słaby nie dlatego, że nie przewidział dalszego ciągu historii, ale dlatego, że pozostawał osamotniony. Gest Rejtana był na darmo, bo rozum okazał się zbyt słaby, aby wcielić się we wspólnotę polityczną. A zatem on – człowiek, który postanowił zostać gestem, Rejtan, którego nie da się oddzielić od gestu Rejtana – popełnia samobójstwo.

Czy Rejtan wiedział jednak, że ta historia będzie miała ciąg dalszy? Czy wiedział, że pojawią się Tadeusz i Zosia?

II

Rejtan, który doświadcza kresu państwa, ponosi klęskę i puentuje to samobójstwem, oraz Kościuszko, ostatni, który próbował dźwignąć Rzeczpospolitą, kontrastują z tym dziewczęciem, które umyka Tadeuszowi. Niepoważne przejście wzmocnione jest jeszcze jednym elementem pośredniczącym. Oprócz słynnych Kościuszki z Rejtanem na ścianie wiszą przecież także Jasiński i obraz rzezi Pragi. Zatem nie tylko osobista tragedia patrioty, ale też wielka narodowa masakra.

Polskość czasów Pana
Tadeusza jest przede
wszystkim stylem, czymś, co
możemy nazwać polskim
sposobem życia Polaków

Ludzie czasów *Pana
Tadeusza* musieli
pogodzić w sobie
podwójną przeszłość
– stanisławowską
formę, z całym jej
klasycyzmem i
sentymentalnymi

inklinacjami, a z drugiej strony całkiem nowoczesne doświadczenie masakry, do którego stanisławowska forma wcale nie przygotowywała. W *Pamiętnikach* Kilińskiego jest taki fragment. Kiedy Kościuszko uderzył na Palembacha i w tej bitwie padło 22 tysiące Moskali, nie mógł posiąść się ze szczęścia. Kiliński także. Z radości więc Kościuszko posyła medale poległym królowi, spodziewając się pochwały. „Aż tu się omylił poczciwy Kościuszko, ponieważ tym prezentem króla nie ukontentował, ale i owszem, król jegomość aż płakał, żałując tak wielkiej straty moskiewskiej, a my w Warszawie, skorośmy się dowiedzieli, ażeśmy do góry z radości skakali, a przy tym jeszcze za jego [Kościuszki] zdrowie wiwaty spijali”[3]. W tym fragmencie, zresztą

podobnie jak w *Panu Tadeuszu*, do stanisławowskiego sentymentalnego klasycyzmu, nielicującemu z traumą masakry, dochodzi jeszcze element trzeci, czyli stara sarmacka uciecha z wojny. Wszystkie te trzy elementy konstytuują także świat poematu.

Jesteśmy tu bowiem w świecie postanisławowskim. Z jednej strony dwór tradycyjny, prawdopodobnie jeszcze nie klasycystyczny, ta bowiem forma rozpowszechniła się znacznie później, więc dwór raczej bliższy barokowemu, niż w stanisławowskim guście, z drugiej zaś obrazy, których zapewne nie byłoby na tych ścianach, gdyby nie charakterystyczne dla schyłku czasów stanisławowskich przywiązanie do sztuki jako nośnika tożsamości narodowej. Wreszcie Tadeusz powraca ze szkół, prawdopodobnie zatem korzysta z jednego z najważniejszych osiągnięć Stanisława Augusta, osiągnięcia, które dało największe owoce dopiero po utracie niepodległości, kiedy na Litwie kontynuowano dzieło Komisji Edukacji Narodowej. Z tego możemy wnosić, że edukacja Tadeusza wcale nie była najgorsza. Tadeusz jest pogrobowcem Rzeczypospolitej. Za jego plecami zostaje rzeź Pragi, ten obraz nie skupia jednak jego uwagi na dłużej, bo rytm powrotu sprawia, że poeta musi nas zaprowadzić do pokoju, w którym teraz mieszka Zosia i z którego umyka spłoszona.

(...) Białe jej ubranie

Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,

Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.

W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana (...)

W tym wszystkim jest więc jeszcze natura, bo cóż innego może być w po wiejsku ubranej Litwinie. I wreszcie ten nieporządek, który Mickiewicz nazywa „miłym”, bo jest w nim coś, co przyjemnie podrażnia zmysły. Rzeczy Zosi są porozrzucane, rozmieszczone beładnie, jakby uwalniając formę z gorsetu zbyt wystudiowanej epoki.

III

Tam wszystko zdaje się mieć swój porządek. To, co cenne, wspomiane i kultywowane, z porządkiem ma się kojarzyć i do niego się odwoływać. Porządki gospodarskie i usadzenie gości. Wschody i zachody słońca. I wreszcie ta mała stabilizacja, którą Soplicowie osiągnęli.

*Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesoło, lecz w porządku; naprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy otoczony rodziną;
Panny tuż za starszymi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku
(Tak każe przyzwoitość); nikt tam nie rozprawił
O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał
A każdy mimowolnie porządku pilnował.*

Ten porządek Mickiewicz nazywa mimowolnym. Wiemy jednak, że nie tkwił on w obywatelach tak po prostu, nie rodzili się z nim ani nie stanowił jakiegoś naturalnego odruchu. To obyczaj, którego Sędzia pilnował i który został przez niego uznany za podstawę społecznego

życia. To oczywiste, że republika opiera się na obyczajach. Ale czy na pewno tym samym, którego pilnował Sędzia? Czego on tak naprawdę poszukiwał i w czym pokładał nadzieję? I czemu ten porządek miał służyć?

Stare gospodarskie rady dotyczące porządku łączą go z dostatkami – „(...) w tym domu dostatek mieszka i porządek”, jak czytamy na samym prawie początku poematu. Porządek i dostatek. Sędzia przytacza przysłowie, zgodnie z którym to właśnie porządek jest podstawą bogactwa narodów. Póki istniało państwo, te mądrości miały swój sens. A później? Czy nie było to po prostu chłopskie asekurancje, mądrości dorobkiewiczze, tanie moralizowanie?

I wreszcie, skąd bierze się pokusa nieporządku? Tę, którą zachwylił Tadeusza, kiedy ten przyszedł do dworu i trafił do pokoju swojego dzieciństwa, gdzie zastał nieład. Mieszkanie kobiece; rozrzucone ubranie, bezładnie ułożone nuty. „Nieporządek miły” – pisze poeta i zdaje się w ten sposób, w ten krótki i zdawkowy sposób, oddawać stan Tadeuszowego ducha. Nieporządek okazuje się miły po tym, jak przejdzie się przez ten dom, w którym wszystko ma swoje miejsce i swoją hierarchię.

Ta drobna zmiana, niewielka dysharmonia, wystarczy, aby poruszyć Tadeusza. Więcej pisać nie ma sensu, skoro sam poeta uznał, że wystarczy powiedzieć: „nieporządek miły”. Za resztę niech posłuży opis zapachów i porzuconej sukienki. Męski porządek, który ucieleśniają Wojski i Sędzia, oraz nieporządek niewieści – oba są tak naprawdę objawami jednej choroby, która niszczy Soplicowo.

Czyż to nie ład właśnie jest przyczyną martwoty, która męczy Soplicowo? Przywiązanie do porządku, dawnych urzędów i rad gospodarskich – to wszystko, co mogło pomóc Polakom budować siłę ich własnego państwa. Teraz, pod zaborami, nie jest to już takie proste. Czyż to nie przywiązanie do tych obyczajów czyni ze szlachty tak dobrych poddanych imperium? Zresztą, cóż to za obywatelskie obyczaje, jeśli republiki już nie ma? Puste formy. Estetyka. Temu światu potrzeba otwartego okna, drobnej choćby zmiany. Jakiegoś poruszenia, które możliwe jest, kiedy w życie wchodzi kobieta.

Kiedy jednak wyrzemy z Tadeuszem przez okno, zobaczymy coś, co ucieszy młodzieńca, ale do niczego wielkiego nie doprowadzi. Zobaczymy wypiełgnowany i wystylizowany ogródek. Z jednego stylu wpadamy w inny. Ten widok powinien nam uświadomić, że nieporządek miły jest nieładem zaplanowanym. Innymi słowy – porządkiem, ale różnym od tego, który panuje w pozostałej części domu.

Zosia wprowadza zatem nieporządek pozorny, kolejną inwersję, różną od tej, którą reprezentował Rejtan. Rejtan był *contra mundum*, Zosi wystarcza swojskość. Czy jednak na pewno? Czy sielskość Zosi jest rzeczywiście tak naturalna?

IV

Czas rzucić indyki i kurki – mówi Telimena do Zosi. Panna skończyła czternaście lat, najwyższy czas dla niej wyjść do ludzi i na ludzi, pokazać swoją urodę. Zjeżdżają kawalerowie, dla panny zaczyna się

czas starania się o męża i o pierwsze doświadczenia. Oj, nie bądźmy purytanami, skoro i Telimena, owa posunięta nieco w latach, ale jeszcze czynna kochanica, sama zachęca do nowych doświadczeń i przygód. I zaczyna w nie wprowadzać Zosię.

*Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz
I na stan, i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz
Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki.
Fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki.*

Porzucenie indyków i kurek tylko pozornie jest przejściem po raz pierwszy do cywilizowanego świata. Po pierwsze, wiemy dobrze, że Zosia tym zajęciom oddawała się zaledwie dwa ostatnie lata, a wcześniej mieszkała z ciotką w Petersburgu. Sama Telimena mówi wychowance, że ta nie powinna zapomnieć jeszcze nawyków ze stolicy. Po drugie, owe wiejskie doświadczenia Zosi wcale tak wiejskimi nie były. Wprawdzie Telimena rzuca z niechęcią:

*Opaliłaś okropnie skórę, czysta cyganka,
A chodzisz i ruszasz się jak parafianka (...)*

– ale jest to rzucone trochę tak bezwiednie, trochę ironicznie, a trochę i z aprobatą. Wychowanie Zosi wśród kur, indyków i wiejskich chłopców było bowiem zamierzone i zaplanowane przez samą Telimenę.

Owo wychowanie pozwoliło na schowanie Zosi przed oczami natrętów, na wywołanie tego „efektu wejścia”, powiewu świeżości, kiedy to pierwszy raz przyjdzie dziewczynie wejść do salonów, od razu z wysoką

pozycją, zaskakując i prowokując zainteresowanie. Dziś powiedzielibyśmy, że Telimena miała wizerunkowe zacięcie i dobrze wiedziała, w jaki sposób młoda panna ma wzbudzać zainteresowanie.

Ale to nie wszystko. Zosia, która w białej sukience karmiła ptactwo, była też realizacją pewnego pomysłu estetycznego, zgodnego z zamysłem epoki. Na nic narodowa apostazja Telimeny i Hrabiego, skoro pasterskie widoczki mieszczą się w ich pojęciu cywilizowanej sztuki. Ona więc wpisuje Zosię w ten obraz, a Hrabia łapie przynętę i uwiedziony widokiem, skrada się ku panience z dziećmi i ptactwem.

Jednak i to nie wyczerpuje jeszcze motywów Telimeny. Jest jeszcze jeden, chyba najważniejszy. Telimena zdradza go wprost, całkowicie szczerze i w sposób, który dla uważnego czytelnika jest zdumiewający. Do wcześniejszego wyprowadzenia na świat Zosi namawiał bowiem Sędzia:

*Sędzia, przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał,
Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał,
Że już jesteś dorosła; sam nie wie, co plecie,
Dziadus, nigdy na wielkim niebywały świecie.*

I dalej wspomniana już argumentacja o sposobie wzbudzania zainteresowania przez wywołanie efektu nowości. Co jednak oznaczają słowa o dziadusi, który nigdy nie był w wielkim świecie? Czy oznaczają one, iż Sędzia nie wiedział, w jaki sposób wzbudzać zainteresowanie panną? Na początku tak się wydaje. Jednak kolejne wersy wyraźnie kierują nas ku innym racjom. Albo nawet nie racjom,

ale fobiom. Zresztą już i słowo „dziaduś”, i zarzut „niebywania w świecie” pokazują pogardę, która jest prawdziwym motywem wychowawczej pracy Telimeny. Jej ujście następuje w słowach:

*Już, rzekła ciotka, z dwojga złego lepiej z ptastwem
Niż z tym, co u nas dotąd gościło, plugastwem;
Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:
Pleban, co pacierz mruczał lub w warcaby grywał,
I palestra z fajkami! to mi kawalery!
Nabrałabyś się od nich pięknej manijery.*

Przed czym i przed kim chroniła więc Telimena Zosię? Jej program wychowawczy miał charakter przede wszystkim negatywny. Na nic cała argumentacja z chronienia przed ciekawym wzrokiem i owe sielankowe obrazki. Tu chodziło o to, by Zosi nie kształtowały typowe dla republikańskiej Polski obrazy.

Przeciwstawienie, które buduje Telimena, nie ustawia z jednej strony Petersburga, a z drugiej chłopięcych zabaw na wsi. Prawdziwe przeciwieństwo zachodzi między Petersburgiem a mrującym pacierze plebanem i pełniącą urzędy szlachtą. Między carskim estetyzmem a republikańskimi realiami. To prawdziwe przedmioty Telimenowej aspiracji i jej pogardy – konwenans i polityka.

Oczywiście, można powiedzieć, że jest to przeciwstawienie sztuczne i niewłaściwe. Że przypominanie go i kojarzenie wyłącznie z Telimeną, ową zdrajczynią narodowej estetyki, jest czymś bałamutnym. Czy polityka, której ucieleśnieniem są i pleban, i gromadząca się w

Soplicowie palestra musi być pozbawiona smaku, a wyprawy do carskiego Petersburga muszą stanowić jedyne źródło estetycznych wrażeń i wyrabiania gustów? Nie, nie muszą. To przeciwstawienie stworzyła sama Telimena i żyło ono w jej głowie, i żyć mogłoby wyłącznie w niej, gdyby nie uczyniła z niego elementu wychowania pannicy.

Zosia jest bowiem usamodzielnioną fikcją. Stworzona przez Telimenę, wymyka się z jej rąk i zaczyna żyć po swojemu. Na nic więc dalsze zabiegi ciotki. Podobnie jest z Tadeuszem. Przygotowywany, by zostać dziedzicem, z zasadami wpajanymi przez wuja, wykształcony wreszcie na stanisławowską modłę. Oboje są dziećmi kultury narodowej, która nie była w stanie powstrzymać upadku państwa, ale okazała się na tyle silna, by utrzymać republikańskie instytucje i republikański dyskurs, by wreszcie przetrwać jako styl.

Polskość czasów *Pana Tadeusza* jest przede wszystkim stylem, czymś, co możemy nazwać polskim sposobem życia Polaków, z grzybobraniem, polowaniem na niedźwiedzia i określonym rytmem pracy. Wszystko to jest dziełem konwenansu i w konwenansie się zamyka. To nic innego jak republikańskie wypalenie, którego najlepszym przykładem jest Woźny.

V

Kiedy Sędzia już śpi, swoją wieczorną modlitwę rozpoczyna Woźny. Jego książeczką do nabożeństwa jest rejestr spraw sądowych, które toczyły się w czasie, gdy sprawował urząd. Albo raczej wokanda, czyli

spis stron.

A zatem pacierz wieczorny Woźnego przypominać musi litanie, litanie trybunalską:

*(...) Ogiński z Wizgirdem,
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojc z Rodułtowskim,
Obuchowicz z kahałem, Juracha z Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a na koniec Hrabia
Z Soplicą (...)*

Litania jest wiedzą tajemną, niedostępną zwykłym śmiertelnikom. Tytuły są jak klucze do bram, a każda z tych bram wiedzie do własnego świata. Jeśli nie wiesz, co się kryje za tytułami, co znaczą te wezwania, na nic twoje modły. Litania otwiera wszechświat – taki, na który może sobie pozwolić dewot. Jaki bowiem dewot, taki świat. Woźny, dewot trybunalski, otwiera się na wszechświat, który składa się ze spraw ludzkich. Każda para nazwisk oznacza bowiem spór, a każdy spór to przeplatające się i spotykające dwie historie stron.

Jego świat żyje – kłótnia jest przecież życiem. Bez kłótni bylibyśmy jak rośliny, bez krwiożerczości świat stałby się nieludzko nudny. Nasze życie tym bowiem różni się od zwierzęcego, że jesteśmy zdolni do odczuwania nudy i za wszelką cenę przed nią się bronimy. Broniąc się – wymyślamy. Wymyślając zaś ciągle coś nowego, świeżą akcję i niespotykaną dotąd historię, posuwamy nasze dzieje naprzód.

A zatem litania trybunalska Woźnego to pewien rodzaj dziejów postępu. Nie przynosi ona wprawdzie technicznych nowinek ani nowych sposobów urządzenia społeczeństwa – tu akurat wszystko musi pozostać po starym. Postęp przejawiać się tu musi raczej inwencją przygód niż jakąś zmianą kondycji. A zatem jest to nie tyle postępowanie ludzkości naprzód, co wchodzenie w głąb natury ludzkiej. Coraz bardziej wyrafinowane spory muszą bowiem przynosić nową wiedzę o ludzkich zawiłościach. Wszelako dla naszego Woźnego, ostatniego na Litwie Woźnego trybunału, owe spory stanowią już listę zamkniętą. Koniec Rzeczypospolitej i kres sądowej kariery bohatera oznaczają bowiem, że nowe nazwiska nie pojawią się w wokandzie.

Pozostaje już tylko rozpatrywanie spraw minionych i wspomnienie, jak to w granatowym żupanie można było przywoływać strony do porządku. Polityczny koniec Rzeczypospolitej był w pewnym sensie także końcem spraw ludzkich, w które można było wniknąć przez wokandę. Ostatni rozbiór spowodował więc także kres pewnego rodzaju humanistyki, która opierała się na życiu społecznym – kres pochodzący do wnętrza ludzkiej natury. Nie ma sporu i nie ma komu zawołać: „Uciszcie się!”.

*Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.*

I wreszcie finał, chociaż zasypiający Woźny mógłby już zań wystarczyć. Ale przecież, powie czytelnik, nie było nic o zajeździe. Właśnie, nie było zajazdu, bo choć jest on w tytule, to nie ma najmniejszego znaczenia. Zajazd jest tylko stylistycznym ozdobnikiem, dopełnieniem raczej niż właściwą treścią. Bardziej wyobrażeniem niż realnością. W *Panu Tadeuszu* ten zajazd jest całkowicie niepotrzebny.

Czytamy wprawdzie „Ostatni zajazd na Litwie”. Słowo „Ostatni” wydaje się tu najważniejsze i kluczowe dla całej historii. Historii – dodajmy – całkowicie fikcyjnej. Jej fikcyjność nie polega jednak na nieprawdopodobieństwie, ale na jej oderwaniu od życia. Mamy tu bowiem próbę zastosowania starej instytucji prawnej, która po upadku państwa nie ma już sensu. Jest tak samo fikcyjna jak rejestry Woźnego, które wprawdzie pozostają w jego pamięci, odświeżane są w cowieczornej modlitwie, powtarzane, ale nic już nie znaczą. Nie ma bowiem państwa, w imieniu którego były wystawiane.

W tej historii jest tylko umykające dziewczę i młodzieniec, przed którym jest przyszłość. Teraźniejszości tu nie ma, bo czas terażniejszy jest obcy tym, których pozbawiono republiki. Jest natomiast przyszłość. Wciąż zagadkowa.

I to wydaje mi się właściwym sensem całego poematu, który uświadomiłem sobie przy ponownej lekturze *Latarnika* Henryka Sienkiewicza. Bohater tej noweli, weteran walk, typowy dziewiętnastowieczny polski tułacz, najmuje się w latarni morskiej gdzieś u wybrzeży Panamy. Ta praca ma stanowić dla niego odpoczynek, kończyć lata wędrówki. Odnajduje on tu siebie na sposób

zupełnie romantyczny, bo w morskiej burzy. Monotonia jego pracy zostaje jednak przerwana, kiedy przychodzi przesyłka z egzemplarzem *Pana Tadeusza*. Pochłonięty lekturą latarnik zapomina o zapaleniu lampy.

Tekst ukazał się w *Teologii Politycznej* nr 6 - Śmierć i polityka

[1] Studium wpływu Mickiewicza na Micheleta i analiza mitu Kościuszki w: W. Weintraub, *Profecja i profesura. Mickiewicz, Michelet i Quinet*, Warszawa 1975.

[2] M. Janion, *Wobec zła*, Chotomów 1989, s. 21.

[3] J. Kiliński, *Pamiętniki*, Warszawa 1958.